Nr. 134. We Lwowie — Środa dnia 15. Maja 1895. Rok XXX[illegible]

GAZETA NARODOWA

wychodzi w dwóch wydaniach: dla Lwowa o godzinie 8 rano — dla prowincyi o godzinie 7 wieczorem.

Przedpłata wynosi:
We Lwowie: miesięcznie zł. 1·50, kwartalnie zł. 4·50, półrocznie zł. 9. Prenumeratorowie miejscowi, składający przedpłatę bezpośrednio w administracyi *Gaz. Nar.*, mają nadto prawo bezpłatnego wypożyczania książek z czytelni H. Altenberga (dawniej F. R. Richtera).
Na prowincyi z przesyłką pocztową: miesięcznie zł. 2, kwartalnie zł. 6, półrocznie zł. 12.
Za granicą kwartalnie zł. 7·50, półrocznie zł. 15.
Prenumeratorowie *Gaz. Nar.* mogą otrzymywać tygodnik humorystyczny **SZCZUTEK** za dopłatą miesięcznie 35 ct., kwartalnie 1 zł. — a **BIBLIOTEKĘ POWIEŚCIOWĄ GAZETY NARODOWEJ**, wychodzącą co piątku zeszytami, za dopłatą miesięcznie 40 ct., kwartalnie 1 zł. 10 ct.

Numer kosztuje 6 ct.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ przyjmują: we [illegible] Administracya *Gazety Narodowej* ul. Karola Ludwika l. 3; **w Paryżu:** C. Adam Ciborowski) 35 rue de Varenne Paris; **we Wiedniu:** Haasenstein & Vogler (Otto Mass) Wallfischgasse 10 — Rudolf Mosse Seilerstädte 2, — A. Oppelik Grünergasse 12, — M. Dukes Wollzeile 6, — Schalleк Wollzeile 11 i J. Danneberg, I. Wollzeile 19; **w Hamburgu:** A. Steiner; **w Frankfurcie** n. M. Haassenstein & Vogler i G. L. Daube & Comp. **w Warszawie:** Reichman & Freudler.
CENA OGŁOSZEŃ: Ogłoszenia zwyczajne za jednoszpaltowy wiersz drobnym drukiem lub jego miejsce 10 ct. **Nadesłane** za wiersz lub jego miejsce 30 ct. **Głosy publiczności** za wiersz lub jego miejsce 50 ct. **Prywatna korespondencya** 3 ct. od wyrazu. **Karty korespondencyjne** dla drobnych [illegible] 30 ct.

Biura redakcyi: ul. Kopernika 7, I. piętro otwarte od 10—12 rano i od 4—5 wieczorem.

Redaktor: **Dr. ALEKSANDER VOGEL.**

Biura administracyi: ul. Karola Ludwika 3 (sklep) otwarte od godz. 9 rano do 7 wieczorem bez przerwy.

Czeska wystawa etnograficzna.

Lwów d. 14 maja.

Jutro w południe odbędzie się w Pradze otwarcie czeskiej wystawy etnograficznej zebraniem w ratuszu staromiejskim gości zaproszonych.

Świadczy to o niepospolitej sile i energii czeskiego ducha narodowego, że w trzy lata po wielkiej wystawie przemysłowej, urządzonej w setną rocznicę czeskiej wystawy krajowej, zorganizowała się nowa wystawa, która celem swoim, układem i rozmiarami głęboko zajmie umysły wszystkich badających rozwój ducha ludzkiego, jak się w poszczególnych narodach przejawia.

Uwydatnią się tam — nie w kronikach niedokładnych lub rozmyślnie fałszywych, nie w tendencyjnych na każdy sposób dziełach historyków, nie w wywodach polityków, zazwyczaj czy to przesadną miłością czy nienawiścią pałających — ale w dokumentach namacalnych, autentycznych: łzy i rozkosze, klęski i zwycięstwa, rozpacze i uniesienia, zawody i nadzieje, zaniedbania i prace, prądy długich wieków duszy czeskiej. Juścić należy patrzyć na te dokumenta nie jak na zwykłe widowisko, na wystawę sklepową, na bawidło, — trzeba przedewszystkiem kochać nietylko ludzkość ogółem, ale kochać własny naród, czuć i myśleć uczuciami i myślami swego narodu, aby zrozumieć także innego narodu wystawę tego rodzaju, jaką jest czeska wystawa etnograficzna.

Dla Polaków zwłaszcza będzie wielce zajmującą i pociągającą ta wystawa, ile że Czesi ongi wybitną odgrywali w dziejach naszych rolę; że języki — czeski i polski — były niegdyś bardzo do siebie zbliżone, a zatem musiało też coś powinowatego tkwić i poniekąd pozostać w duszy obu narodów, co się wykaże na tej wystawie; że wreszcie w okolicach Jiczyna, a nawet na zachodniej granicy Czech koło Domużlic (Tauss) znajdują się kolonie polskie, które juścić pochodzenie swoje zatraciły, stały się składową narodu czeskiego częścią, a jednak coś tam niejedno w ich stroju, budowie, zwyczajach, powieściach do dzisiaj jeszcze z duszy polskiej się zachowało.

Juścić po naszej zeszłorocznej wystawie narodowej i wobec bliskiej wystawy w Poznaniu trudno, aby tylu z narodu naszego pospieszyło na teraźniejszą wystawę czeską, jak na ową jubileuszową przed trzema laty. I jeżeli tym razem mniej nas przybędzie do Pragi, to z pewnością nie dlatego, że Czesi nie byli w roku zeszłym na nas łaskawi. Godności naszej ubliżyć nie mogło, że pp. młodoczesi przez dziwaczne szkła austryacko-polityczne zapatrywali się na naszą wystawę. U nas jest tylko jedno stronnictwo—narodowe, jakkolwiek pod chwilowem oświetleniem rozmaicie się ono cieniuje; więc też innych narodów, a zwłaszcza pobratymczego czeskiego nie oceniamy wedle tego, co czynią jego pojedyncze frakcye, choćby w pewnej chwili — do czasu — rej wodzące. Miną młodoczesi, a naród czeski pozostanie, jak był już i przed narodzeniem młodoczechizmu.

Zresztą przysłał nam naród czeski zeszłego roku mężów, nad których nie zdołałby przysłać większych lub droższych — że tu tylko wspomniemy słynących po całym świecie dr. Riegera, patryarchę narodu czeskiego i współtwórcę niesłychanego w dziejach rozkwitu tego narodu; przysłał nam wielkiego mistrza pieśni słowiańskiej Vrchlickiego, który poezyę czeską wyniósł na wysokość poezyi wszech narodów cywilizowanych. Przysłał nam przyjaciół tak szczerych, tak drogich: Emanuela Tonnera i Edwarda Jellinka. A byli reprezentanci rodów sięgających doby Przemysława i po rycersku ciągle pracujących dla narodu czeskiego, byli przedstawiciele wybitni sztuki czeskiej i przemysłu czeskiego.

Ponawiamy dzisiaj serdeczne za to dzięki nasze Czechom i jak bracia życzymy powodzenia czeskiej wystawie etnograficznej!

Główne działy tej wystawy są: demograficzny, antropologiczny i folklorystyczny. Wystawa przedstawia czeskie narodowe stroje i mieszkania, zajęcia, pracę ludu, literaturę, dziennikarstwo, dramat, pieśń, muzykę i tańce ludowe, szkolnictwo, architekturę w ogóle czeską, wreszcie czeską sztukę kościelną (katolicką, husycką, aryańską i protestancką) wszystko to od najdawniejszych czasów, o ile sięgają zabytki autentyczne, bądź w oryginale, bądź w rysunkach wreszcie z dyagramami, przedstawiającymi ruch w poszczególnych gałęziach wedle czasu, z całą fanatyczną prawie miłością kraju i głęboką wiedzą dzielnego narodu czeskiego.

Premie za zboża zagraniczne sprowadzane do mielenia.

(Mahlverkehr.)

Lwów d. 14 maja.

Jednym z najważniejszych postulatów agrarnych, stojących obecnie na porządku dziennym, a który także i przemysł młynarski mocno obchodzi, jest zniesienie premij młynarskich od wyrobów z importowanego z zagranicy zboża. Mianowicie tytułem zwrotu cła pobranego przy imporcie zagranicznego zboża zwraca administracya skarbowa młynom po zł. 1·50 od 100 kilo ziarna, z tego poniekąd tytułu, żeby jeden i ten sam produkt nie był dwa razy opodatkowany: raz przy przywozie ziarna z zagranicy, a drugi raz w młynie, w formie podatków zwykłych, jakim każde przedsiębiorstwo przemysłowe podlega.

Zasada tych zwrotów cła, co nazywa się utartym terminem „obrotem w mlewie“ — po niemiecku *Mahlverkehr* przedstawia się na pierwszy rzut oka jako zupełnie słuszna. Lecz w praktyce doprowadza jej zastosowanie do rażących nadużyć i jest połączone z krzywdą dotkliwą nietylko dla młynarstwa, lecz w dalszem następstwie i dla całej produkcyi zbożowej wewnątrz państwa a zwłaszcza w Przedlitawii. Faktycznie bowiem korzystają z owej premii tylko wielcy spekulanci, którzy dysponują nietylko młynami fabrycznymi, ale także prowadzą równocześnie na wielką skalę handel zbożem zagranicznem i swojskiem — dyktując po prostu ceny zbożowe dla rozległych okolic, leżących w obrębie ich wpływów.

A ponieważ, jak ogólnie wiadomo, rząd austryacki z zasady traktuje zazwyczaj produkcyę tylko jako przedmiot opodatkowania, nie troszcząc się wcale o jej losy, gdy rząd węgierski z całą bezwzględnością, nie gardząc nawet niezupełnie lojalnymi środkami produkcyę swojską popiera, najczęściej na szkodę Przedlitawii, przeto i owe premie młynarskie wyzyskuje kartel wielkich młynów węgierskich pod protekcyą rządu węgierskiego z trudną do zwalczenia bezwzględnością.

Wyzysk jest tu praktykowany w sposób dwojaki. Raz tą drogą, że tylko wielkie zakłady mogą dopełniać warunków formalnych, od których zawisło uzyskanie premij od administracyi skarbowej, przeto małe i średnie młyny nie mogą z tego urządzenia korzystać, a przynajmniej jest to dla nich bardzo utrudnioną rzeczą. Powtóre zaś, otrzymawszy premię zł. 1 ct. 50 za zboże stepowe, wydające zaledwie około 75% mąki dobrej, mogą spekulanci kartelowi kalkulować znacznie niżej ceny za mąkę wyrabianą z miejscowego zboża najcelniejszego. W ten sposób inni producenci i młynarze, którzy nie mogą spodziewać się żadnych zwrotów skarbowych, pozostają na targu w tyle po za nimi ze swojem mlewem przeszło o guldena na każdych 100 kilo, a wraz z nimi i producenci miejscowi, z nimi związani, ponoszą straty.

Ów *Mahlverker* jest jednym z głównych czynników wzrostu węgierskiej uprzywilejowanej konkurencyi, działającej zarówno na niekorzyść całej Przedlitawii, jakoteż średnich i małych młynów węgierskich. Nie wychodzi on zatem ani na korzyść gospodarstwa społecznego, ani na korzyść skarbu, tylko węgierskim potentatom młynarskim napełnia on kieszenie.

Walne zgromadzenie Związku młynarzy galicyjskich, które odbyło się we Lwowie w dniach 24. i 25. marca b. r. zatrudniało się tą sprawą nader żywo i jednomyślnie uchwalono na tym zebraniu polecenie dla zarządu Związku, iżby wszelkimi prawnie dozwolonymi środkami starał się wyjednać zniesienie premij młynarskich od zboża, z zagranicy do młynów sprowadzanego.

Tak samo wszystkie niemal związki młynarskie w Przedlitawii, jako to: zachodnio śląski Związek młynarski, Związek młynarzy okręgu ołomunieckiej Izby handlowo-przem., Związek młynarzy północnych Czech, północno-zachodni Związek młynarski, tyrolski krajowy Związek młynarzy, a wreszcie Związek młynarzy przedarulański (*Voralberger Mühlenverband*) pod przewodnictwem dolno austryackiego Związku młynarskiego stanowczo i bez ogródki domagają się zniesienia premii młynarskiej przy zbożu, sprowadzanem z zagranicy.

Taką samą opinię wypowiedziano na kongresie małych i średnich producentów mlewa. Wiele Towarzystw rolniczych, a nawet i jeden z sejmów krajowych, mianowicie sejm Górnej Austryi upomniały się o zniesienie premij młynarskich.

Dnia 6 maja br. odbyła się we Wiedniu pod przewodnictwem prezydenta tamtejszej Izby handlowo-przemysłowej Mauthnera wielka ankieta, zwołana przez wiedeńską Izbę na naradę nad sprawą zniesienia owych premij młynarskich. W ankiecie wzięli udział delegaci wszystkich związków młynarskich, Izb handlowo-młynarskich, wiedeńskiej giełdy zbożowej i wielu Towarzystw rolniczych. Ankieta również jednomyślnie oświadczyła się także za zniesieniem premij młynarskich, przez węgierskich spekulantów na szkodę Przedlitawii bezwzględnie wyzyskiwanych.

Galicyę, jako kraj rolniczy sprawa ta szczególniej dotyka. Jakkolwiek bowiem i niektóre galicyjskie wielkie młyny biorą udział w spekulacyach opartych na owej premii, lecz przeważna większość naszych młynów, a zwłaszcza mniejszych, jakich u nas właśnie jest najwięcej, upada po prostu pod naciskiem węgierskiej konkurencyi. Zniesienie owego fatalnego przywileju jest przeto koniecznem dla ratowania młynów naszych od zniszczenia przez madyarską nawałę, i dla ochrony interesów rolnictwa, które także w skutek ułatwionej tymi zwrotami konkurencyi madyarskiej, dotkliwie cierpi.

Rosyjscy czynownicy.

Przed kilku dniami podaliśmy w zapiskach kronikarskich wiadomość o wykryciu bezprzykładnych nadużyć i zbrodni, popełnianych przez policmajstra w Radomiu. Obecnie *Dzien. pozn.* otrzymuje w tej sprawie bliższe szczegóły, jaskrawo ilustrujące „urzędowanie“ rosyjskich czynowników.

W Radomiu — pisze ten dziennik — spotkało rząd rosyjski nieszczęście. Policmajster Kiryczenko, sprawujący urząd ten od trzech lat, okazał się „łapownikiem“. To jeszcze drobnostka. Ale nadto okazało się, iż jest wspólnikiem złodziejskiej bandy, która już z daleka trąci wewnętrznym rozkładem! Pod osłoną tego policmajstra niższe organa żyły za paniebrat ze złodziejami, przebierały się za wieśniaków i napadały na podróżnych w pobliżu miasta; najwyższy urzędnik policyjny wiedział o kradzieżach i napadach, a patrząc na to przez szpary, dzielił się łupem w formie stałych pensyj, doraźnych datków, nadań monopolistycznych i tanich zakupów, robionych u passerów lub samych hersztów złodziei. Zegarek np. skradziony jednemu z okolicznych obywateli znalazł się tą drogą u naczelnego stróża publicznego bezpieczeństwa w Radomiu. Kto chciał uchronić się od prześladowań i nękań policyjnych, ten opłacać się musiał policmajstrowi. Nawet wieśniacy, przyjeżdżający od niepamiętnych czasów z produktami spożywczymi na ulicę Wałową, uczuli ciężką rękę „mistrza“. Rozpędzani przez policyantów, płazowani, szturchani, bici, przestali wreszcie zupełnie przyjeżdżać do Radomia. Potrzeba było umyślnej urzędowej zachęty, aby żywicieli miasta napowrót sprowadzić. Kiryczenko, zrzekając się teraz gwałtów, postawił na swojem: pozwolił na utrzymanie targu, ale kupcy musieli mu składać się na 600 rubli rocznego *douceur'u*. Na tej samej ulicy miał szynk wspólnik Kiryczenki, Blatt, a w tym szynku odbywały się schadzki złodziejskie. Kiedy w pobliżu Blatta powstała nowa gospoda gorzałczana, policmajster jął nękać nowego procederzystę rozmaitemi nakazami i zakazami, dopóki na nim nie wymógł miesięcznej opłaty po 25 rubli. Kiryczenko ustanawiał monopole; nadał np. wyłączne prawo grywania na weselach i balach niejakiemu Siwkowi za opłatą również 25 rs. miesięcznie. Troskliwość o zdrowie mieszkańców otwierała Kiryczence co lato obfite źródło dochodu: łupił też na potęgę. Dobrą stroną jego działalności było przyjmowanie opłat w miejsce torturujących ludność Królestwa Polskiego formalności policyjnych, zwłaszcza paszportowych; zielony papierek miał własność uśmierzania gniewów *ex lege*, spadających na głowę przestępcy.

Upojony powodzeniem, a silny protekcyą gubernatora, Kiryczenko lekceważył sobie nawet wysoką dygnitaryę miejscową, jak Pryma, generała dywizyi, jak Czyczeryna, prokuratora sądu okręgowego i musiał być i dla nich psem łapiącym za łydki. Zadzierając tak z wielkimi, ściągał przecież nieopatrznie na swą głowę pioruny. Raz zwróciwszy na siebie uwagę prokuratorską, fatalnie toczył się w dół, gdzie go czekało sądowe śledztwo.

Czyczeryn z zebranym prywatnie materyałem śledczym przyjechał zaraz po Wielkanocy do Warszawy, aby poddać przygotowaną sprawę pod decyzyę naczelnego prokuratora w warszawskim okręgu sądowym, Turau'a. Ten odwołał się do gen. Broka i z konieczności do hr. Szuwałowa. Odzywały się w towarzystwie rosyjskiem głosy, aby ze względu na Polaków utopić sprawiedliwość w bieżącej wodzie; ale sprawki Kiryczenki były zbyt krzyczące, aby nawet taki Turau, wróg imienia polskiego, mógł pójść za radą patryotów z klubu i upoważnił tedy Czyczeryna do urzędowego dochodzenia. Czyczeryn, nie mogąc działać w warunkach zupełnej bezstronności — gdyż całe miasto wiedziało, że prokurator drze z nim koty — wyjednał sobie zastępstwo. Posłano z Warszawy jednego z towarzyszów prokuratora, dając mu do pomocy żandarmów, policyantów i ajentów tajnych w liczbie około dwudziestu. Schwytanie skradzionego zegarka w rękach Kiryczenki udało się bez trudności, a niepohamowane jego zuchwalstwo przyspieszyło mu chwilę postawienia przed sądem. Niegodziwiec miał jeszcze tę czelność, że wtedy, kiedy już śledztwo nad nim wisiało, pobił jednego ze świadków za nieprzychylne świadczenie i zamknął go na cztery dni w więzieniu policyjnem. Nadzwyczajny komisarz prokuratorski wezwał przed siebie skrzywdzonego i krzywdziciela i zbadawszy istotę czynu, założył już akta śledcze przeciwko Kiryczence i osadził go w areszcie domowym. Proklamacya publiczna wezwała wszystkich, którzyby pokrzywdzeni byli przez policyę lub mieli cokolwiek do zeznania w sprawie — aby spieszyli do sądu. Przez kilka dni Radom był jakby w pospolitem ruszeniu. Wzięto się zaraz do reorganizowania policyi radomskiej z pomocą kwiatu policyi warszawskiej. Operacya taka zajmie nie mało czasu, bo śmieci do wywiezienia jest więcej, niż — na ulicach Radomia.

Ciężko skompromitowany jest sprawą Kiryczenki gubernator miejscowy Majlewskij. Łotr był jego powinowatym i zarazem protegowanym: na nowy rok 1895 przedstawił go zwierzchnik guberni do najwyższej nagrody — za gorliwe i wzorowe spełnianie obowiązków! Zaraz po wykryciu nadużyć hr. Szuwałow wezwał Majlewskiego do Warszawy; gubernator przyjechał i dnia 21. kwietnia słuchał gryzących słów prawdy z ust „naczelnika kraju“. Należy mu się dymisya — zasłużył na nią co najmniej niedbalstwem. Pogłoski warszawskie czyniły z Kiryczenki ofiarę samobójstwa. Jako żywo, tacy się nie zabijają. Zresztą Ki-

---

31

Ze Starżów pani Appelstein.

Powieść współczesna

w dwóch częściach

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Ciąg dalszy).

Irena ciężko westchnęła i podniosła się na poduszkach, jakby w karnarze. Uczuła pot na twarzy, czole, na całem ciele. Czyżby było tak gorąco w komnacie? Dusiło ją formalnie.

Zaświeciła świecę i spojrzała na termometr, przypięty do jedwabnej kotary łoża. Był na 15°. Gorąca nie było... Nie czuła się też słabą...

Zgasiła światło i postanowiła usnąć. Noc bezsenna mogłaby jej popsuć zbliżający się dzień, jeden z najpiękniejszych w życiu, na który tak długo czekała, którego zwłoka nie jedną jej łzę wycisnęła, od którego sobie tyle szczęścia obiecywała.

Przytuliła głowę do poduszki. Cisza panowała w komnacie, do której jednak dolatywał turkot budzącego się miasta. Czasem dorożka przeleciała po asfalcie około pałacu, odwożąc zapewne z nocnej hulanki pijanego młodzieńca lub może rozmarzoną pannę z balu. Nic tak nie usypiało Ireny, jak ten ruch idącego na spoczynek świata w budzącem się mieście, o ile on do niej dochodził przez grube mury pałacu, przez kotary i dywany, o ile wstrząsał kryształami żyrandoli w salonach, jakby po to, by ją tylko przekonać, że wszystko dokoła niej żyje i zabiega.

Ale dziś to nie skutkowało.

Jak mama znajdzie Lulu? . . . .

. . . .

Zerwała się znowu, zapaliła świecę, wsunęła nogi w jedwabne pantofle, które jej był przed paru dniami przywiózł hr. Mikołaj z Kairu, i pobiegła z lichtarzem w ręku do przyległego gabineciku. Tu na środku tronowała kołyska, bijąca do światła niebieskiego atłasu połyskiem i złotem plecionki.

Uchyliła jedwabnej, ale lżejszej od gazu zasłony i wlepiła wzrok w oblicze spokojnie śpiącego dziecka.

To dziecko przecież do Appelsteinów nie było podobne...

Ale było ono jakieś inne od wszystkich dzieci, jakie w tym wieku widziała, czy też tak się jej może zdawało. Przypominała sobie dzieci Ewlinki, inne, wszystkie, jakie w życiu z interesem oglądała. A Lulu wciąż zdawała się jej inna...

Ciężko westchnęła. Miała widocznie gorączkę. Co ona chciała od tego niemowlęcia. Podobne ono było do wszystkich niemowląt. Przecież dzieci nie mają rysów, ani nic jeszcze, coby je do tego, czy owego podobnemi robić mogło.

Ale Lulu miała ciemniejsze oczy, niż je miewają dzieci. Leontynka miała z czasem być brunetką... to nie ulegało wątpliwości... I ona była brunetką, więc córeczka musiała być do niej podobną... Bernard był blondynem...

Ale Jakób, jakże silnym był brunetem . . . .

. . . .

Pani Leontyna Starża, której portret Winterhaltera wisiał w niebieskim salonie, była także brunetką...

Ale dlaczego Bywalski...

Znów westchnęła.

To westchnienie chyba obudziło francuską bonę, śpiącą przy dziecku.

— *Ah! c'est madame* — szepnęła, zdawszy sobie sprawę z położenia rzeczy, poznawszy panią Appelstein w niespodzianem widziadle.

— Czyżby Lulu się obudziła? czyżby pani co słyszała? Czyżbym była tak twardo zasnęła? — zawoła francuzka, zrywając się z pościeli.

Nie! nie! — szepnęła Irena, jakby się budząc z odrętwienia. — Lulu spi wybornie... To ja usnąć nie mogłam i...

Francuzka znudzonym tonem odrzekła:

— To co innego... Ale dużo widziałam dzieci, i dzieci wielkich domów, ale takiej matki, jak pani, nie widziałam. Arcyksiężna Gizela czasem całą noc ze mną przeczuwała, księżna d'Aumâle *elle était ennuyeuse...* ale..

Ziewnęła i nie dokończyła.

— Ale ja jestem nudniejszą? — zapytała Irena, nagle pragnąc, by francuzka już nie usnęła.

— Nie to, ale tak rano.. wolę całą noc nie spać, jak rano...

— Być obudzoną? Wszakże ja bardzo cicho się sprawowałam. Oddychałam zaledwie...

— Ale to światło. *Voyez vous madame*, ja spię jak myszka, ja mam wprawę tego spania.

Ziewnęła, jakby już zasypiała.

— Bo widzisz, moja droga pani, nie mogę dojść, do kogo jest podobna Lulu.

— *Voila*... ciągle ta sama historye. *Ah! les mères.* Przecież tyle razy pani mówiłam, że podobną jest do pani i do ojca. To zawsze tak idzie, odziedziczają maleństwa po rodzicach *et puis*... Siostra pani znajduje, że jest podobną do matki pani. *Je verrai ça aujourd'hui.* A ja się znam. Gdy się urodził synek księżniczki Karoliny de Bourbon, zaraz powiedziałam, że wdał się w Bourbonów, bo też był to książę D'Eu wykapany. A ja to podobieństwo pierwsza odkryłam, choć księżna upierała się, że małe książę przypominało ojca.

— A książę?

— Był rodzonym stryjem.

Irena zacisnęła usta, oparła się dłonią o krawędź kołyski, a świeca drgnęła w jej ręku, a czarne brwi się ściągnęły wyrazem bolu, czy cierpienia.

Francuzka nie widziała tego, bo już przymknęła oczy przekonana, że uspokoiła rodową i macierzyńską dumę matki, upewniając ją, iż dziecko było podobne do niej i do ojca. O cóż jej więcej mogło chodzić?

Irena jeszcze raz wzrok wlepiła w kołyskę, wzrok wytężony, wytężeniem tak twardy, że aż dziecina w puchach drgnęła.

Zapuściła zasłonę i powróciła do sypialni. Zarzuciła na siebie białe niedźwiedzie futro, służące jej za *sôt de lit* i zgasiwszy świecę, opuściła się na fotel.

Dniało. Przez szpary w okienicach, przez fałdy koronkowych firanek wdzierało się ponure światło ponurego zimowego dnia.

Irenie w głowie szumiało, jakby po balu, po tańcu. Nie mogła sobie przypomnieć, ani tytułu, ani treści romansu przed niedawnym czasem czytanego, a opartego na dziwnych prawach i igraszkach atawizmu.

Bo też ci autorowie francuscy waryowali z tym atawizmem, jak Zola z tą genealogią rodziny Mackartów, jak... Ale jakiż tytuł miał ten romans dziwacznie osnuty na podobieństwie atawistycznem? Jakże to było? Romans się zaczynał o urodzeniu córeczki jakiegoś markiza w ponurym zamku Normandyi. Akuszerka odkrywała podobieństwo tego dziecka do jakiegoś portretu, wiszącego w galeryi rodzinnej. Ten portret przedstawiał damę z czasów Ludwika XV, jakąś Włoszkę, co otruła męża...

Majaczyło się jej. Co to było? Jaki tytuł? Jaki autor? Jakie pokrewieństwo między tem dzieckiem a tym portretem? . . . .

. . . .

Uczuła, że ją głowa silnie boli. Ależ ona była waryatką, w tym uporze przypomnienia sobie treści przeczytanego gdzieś romansidła. Choć to nie był zły romans. Interesował ją bardzo. Czytała go mając właśnie zostać matką . .

. . . .

— Oszalałam! — szepnęła i zerwała się z krzesła, by otworzyć okiennice i zaczerpnąć powietrza.

X.

O godzinie 10 rano Irena była przy matce.

Pani Starża się bardzo posunęła, choć pozostała jeszcze piękną starcą. Białe włosy prawdziwie zdobiły spokojne, zdrowe, różowe oblicze matrony. Bo matroną była ona w pełni słowa tego znaczeniu. Powierzchowność fizyczna skłaniała się ku nadaniu jej tych cech, które sprawiają razem wrażenie matrony. Dobroć zawsze krasiła tę twarz, która straciła wiele na życiu i werwie, ale zyskała jakiś niezmiernej pobłażliwości wyraz.

Irena badała oblicze i duszę ukochanej matki. Nie znajdowała w nich tej zmiany, do której ją jeszcze przed godziną przygotowywała Ewlina.

Przed godziną bowiem zeszła do niej, by ją przygotować, iż zastanie matkę już nie tę, którą ostatni raz widziała. Mówiła o jakiejś utracie niektórych władz umysłowych, wspominała o nabytym defekcie myślenia czasem głośno. Irena niczego z tego wszystkiego od pół godziny dopatrzeć się nie mogła. Matka jej pozostała taką, jaką była, nieco bielszą a tem samem różowszą, jeszcze łagodniejszą, jeszcze piękniejszą. Jakąż władzę mogłaby utracić, jeśli pozostała dobrą? Jakąż wadą mogłoby być, że głośno myślała, jeśli myślała tylko rzeczy piękne, bo o jakichże innych by myśleć mogła?

— Tak dawno cię nie widziałam, najdroższa moja — powtarzała wśród łez, które co chwila jej stawały w jasnych oczach — tak się bałam cię widzieć, bo się bałam, byś niebyła szczęśliwą... Ale pragnęłam cię widzieć, tylko widzisz — tu przytłumiła głosu i szeptem kończyła — tylko widzisz Edziowa mi nie pozwalała..... Edziowa nie pozwalała.....

A więc to to, do czego ją przygotowywali — myślała Irena. — Mówiąc o Edziowej, naturalnie mama myśli głośno i to powtarzanie ostatnich czy ostatniego słowa. Oto te nabytki wiekowe ukochanej istoty... jakże miłe, urocze, robiące ją jeszcze droższą.

„Edziowa nie pozwalała“, Irena nie podnosiła tej wciąż powtarzającej się szeptem zwrotki. Ale łzy jej stawały za każdym razem w oczach, bo w tych kilku słowach, w tym szepcie była cała jej poczciwa, łagodna, dająca się opanowywać i terroryzować matka.

„Edziowa nie pozwalała“, ta Edziowa, której by ułatwić wejście do rodziny Starżów, ona wyszła za Appelsteina, ta Edziowa, dla której męża tyle już poświęciła, tyle przecierpiała niedalej, jak temu dni kilka, tyle... choćby tylko spojrzenie Jakóba, jakiem ją objął po wypłaceniu ostatnich trzydziestu tysięcy.

„Edziowa nie pozwalała“ matce widzieć ją, siostrę jej męża...

Irena czuła, iżby dniem łez nie utuliła żalu, gdyby nie radość chwili, w której się znajdowała przy dawno niewidzianej matce.

(C. d. n.)

ryczenko nie potrzebuje się spieszyć; nie wiadomo jeszcze, ażali będzie oddanym pod sąd, a skazanego nawet jeszcze pierwszy lepszy manifest uwolni.

W Rosyi tylko przestępstwa polityczne długo czekać muszą na przebaczenia, a zapomnienia nie dostępują nigdy; dla przestępstw kryminalnych nie jest carat, nie lubi być w wymiarze kary srogim, i chętnie okazuje im względność przez abolicye i amnestye. Wielkie państwo carów jest tak cudownem, że nawet takie Kiryczenki mogą w niem je szcze być ludźmi, *djejateljami*, patryotami. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby policmajster radomski pojechał jeszcze na cywilizatora do Turkiestanu lub Mandżuryi, może nawet na Litwę lub Ruś... Dość tylko przypomnieć siedleckiego łupieżcę Kuryłę, który w kilka lat po wypędzeniu z Siedlec został policmajstrem w Niżnym Nowogrodzie, jeśli nas pamięć nie zawodzi.

Odkrycie radomskie przypomina inny jeszcze wypadek. Działo się to trzydzieści lat temu w Rosyi. W jednej z „bardziej oddalonych“ gubernii, do których wysyłano Polaków za rok 1863, odbywał się w większem mieście jarmark. Obyczajem lat dawniejszych przyjechał z towarami i bogaty jeden kupiec i stanął za miastem, w ogrodach. Miasto słynęło z kradzieży i rozbojów; jarmark znęcił złodziei z dalekich nawet miejscowości. Kupiec zaopatrzył się w rewolwer. Drugiego dnia jarmarku, kiedy już dobrze sobie wyładował pugilares, w nocy budzi go gwałtowna wrzawa i rozruch pod oknami. Okiennice poodrywane — widoczny napad. Kupiec się zrywa, chwyta za rewolwer, staje przy oknie i mierzy na napastników. Dwóch pada: jeden śmiertelnie raniony, drugi zabity. Donoszą policyi o wypadku, ta szuka swej głowy: nie ma jej nigdzie — w biurze, w domu, w klubie — nie ma nawet u kochanki, o której całe miasto wiedziało. Gdzie może być policmajster? Aż tu nad ranem na miejsce wypadku przychodzą władze i w zabitym poznają — samego właśnie policmajstra.

To nie anegdota, ale najrzetelniejsza prawda.

Jest przysłowie rosyjskie: *Niemcu smert, a russkomu czełowieku na zdrawie.*

Istotnie od takich policmajstrów umarłby dawno wszelki porządek w każdym kraju cywilizacyi europejskiej; w Rosyi kwitnie i bujnie się rozrasta — porządek specyalnie rosyjski, polegający na umiejętnem, zręcznem zachowywaniu pozorów. I jak się tu dziwić tym Twerczanom i innym już zgromadzeniom ziemskim, że mimo skarcenia przez cara w dniu 29. stycznia rb. utrzymują wśród siebie agitacyę i dopominają się kontroli nad policyą, nad administracyą i w ogóle, i chcą przynajmniej tego, aby głos ich mógł bezpośrednio do tronu przenikać.

W jednej tylko Rosyi mógł taki Kiryczenko odegrać poważnie rolę moralizatora. Stało się to w ubiegłym roku na jesień, a odsłoniło inną jeszcze stronę pracującej nad „uszczęśliwieniem poddanych“ policyi rosyjskiej — działalność myśli państwowej rosyjskiej na kolejach Królestwa i w ogóle we wszystkich ziemiach polskich. Znacie wypadek z dwoma ślusarzami, sprowadzonymi z Rosyi na maszynistów i ich protektorem naczelnikiem trakcyi drogi żel. dąbrowskiej.

Kiryczenko po przydybaniu oszustów ograbiających handlarzy radomskich, miał do nich naukę moralną, a zakończył ją oświadczeniem, że ich puszcza wolno tylko ze względu na to, że ma przed sobą synów świętej Rosyi, której nie chce wstydu przyczyniać. Żaden umysł europejski nie zrozumie takiego patryotyzmu i takiej mądrości stanu, tolerującej występek. Tutaj są te rzeczy powszednie.

KRONIKA.

Lwów dnia 14. maja.

Mianowania. Sąd krajowy wyższy w Krakowie zamianował auskultantami sądowymi praktykantów sądowych: Kazimierza Mischkégo, Kazimierza Munka, Edmunda Gebauera, dr. Kazimierza Erazma Haburę i dr. Romana Jana Marka.

(X). **Kolonie wakacyjne.** Zbliża się pora upałów, z nią wakacye szkolne i tyle upragniony przez dziatwę odpoczynek i wyjazd na wieś. Nie wszystkie jednak dzieci dostąpić mogą marzonej przez nich możności odetchnięcia świeżem powietrzem przez ciąg pięciu lub sześciu tygodni. Najwięcej potrzebujący muszą i w owej porze zadowalniać się ciasnemi izdebkami, na czem zdrowie malców nadzwyczaj cierpi i jak zimą tak i latem widzimy ten drobiazg rachityczny, źle odżywiany, błąkający się wśród upalnych dni po pełnych kurzu ulicach Lwowa. Dla niesienia ulgi, choć małej cząstce nieszczęśliwych dzieciaków, komitet kolonij wakacyjnych wysyła rok rocznie około 150 chłopców do Hrebenowa, gdzie dziatwa jest podejmowaną przez sześć tygodni. Ubożsi dostają płótniaki, kapelusiki i obówie; słowem, komitet dokłada starań, aby biedactwo choć w tej porze roku przez dni kilkadziesiąt było dobrze odżywiane i mogło użyć choć w części tych przyjemności, jakich zamożni rodzice swojej dziatwie nie odmawiają. Ale komitet rozporządza bardzo skromnymi funduszami, datki płyną wolno, choć cel to tak piękny. W pewnym znanym mi domu, niezamożnym nawet, ojciec rodziny rozgląda się po okolicy dla wynajęcia mieszkania dla dziatwy swej na lato. Z pensyi miesięcznej za kwiecień odłożył 10 zł., które ma doręczyć komitetowi. „Chłopcy biegając po świeżem powietrzu — mówił do mnie — będą mieli i to jeszcze zadowolenie, iż przyczyniłem się w ich imieniu do niesienia ulgi ich biednym rówieśnikom. Dziesięć zł. nawet w niezamożnym domu przegrywa się czasem w wista, wyda na kilkakrotne odwiedzenie teatru itp., ja postanowiłem dać je komitetowi“. Tyle mój znajomy. Piękny to pomysł, godzien naśladowania. Lwów tak jak i Warszawa słynie z ofiarności i nic łatwiejszego, jak poruszyć w piersiach jego mieszkańców szlachetną strunę, jak wzruszyć niedolą nędzarzy. Tembardziej teraz, gdy chodzi o dzieci, o ten zastęp lepszego jutra, o biedaków bez pomocy prawie, podległych nie zawsze wzorowo prowadzącym się rodzicom, w tych kołach, gdzie pięść i półkwaterek są na porządku dziennym, a dzieci pozostają... na opiece bożej. Czas nagli, gdyż w początku lipca wszystko już i tu i w Hrebenowie, gdzie komitet dzieci wysyła, musi być na przyjęcie malców gotowe; nie wątpimy więc, że wezwanie nasze znajdzie głośne echo w sercach tych, co swoim dzieciom nie skąpią niczego.

Posiedzenie Rady miejskiej odbędzie się w czwartek dnia 16. bm. o godzinie 6. wieczorem.

Dwa wypadki zdarzyły się wczoraj w nocy przy pociągu stryjskim. Pociągiem tym wracało z Bośnii do kraju czternaście rodzin wychodźców. Zbiedzonych i zubożałych biedaków było około 50 osób. Przy wysiadaniu z pociągu zmarło wieśniaczce Maryannie Bizur ośmiomiesięczne dziecię, prawdopodobnie na dyfteryę a prawie równocześnie w poczekalni III kl. żona Marcina Slasza, zasłabła, spodziewając się dziecięcia. Przywołane pogotowie stacyi ratunkowej, zabrało chorą na wóz lecz w drodze przyszedł na świat nowy obywatel, którego wraz z matką oddano do szpitalu.

Grono tych włościan wracających obecnie z Bośnii, tak opowiada swe koleje. Przed laty byli w Rosyi w Chełmskiem i pod Włodzimierzem, a ponieważ nie chcieli wyrzec się świętej wiary wygnali ich Moskale. Osiedli więc w Wólce Tarnowskiej koło Ulanowa i w Sokalskiem. Mieli przy sobie trochę grosza uzyskanego ze sprzedaży gruntów i ruchomości i poczęli się oglądać za kupnem gruntów.

Przewąchali to agenci żydowscy i namówili ich do emigracyi do Bośnii, ofiarując swe pośrednictwo i opowiadając, że cesarz darowuje tam przybyszom grunta za darmo. Odwieźli ich pomysłowi spekulanci do Bośnii, gdzie spotkał ich zawód srogi. Roztracili pieniądze na drogę i życie, bo o zarobku nie było mowy, nie rozumieli języka miejscowego, a ludność patrzyła na nich z zawiścią, jak na najezdzców. Dziś po latach ośmiu, ciężką pracą zdołali zaledwie zebrać tyle grosza, by módz wrócić do kraju. Losy tych biednych ofiar moskiewskiej brutalności oraz wyzysku niesumiennych żydów niech będą przestrogą dla innych.

Zaburzenia przy budowie drugiego toru kolei państwowych. Wczoraj przedpołudniem linia kolejowa między dworcem głównym a Podzamczem była widownią zaburzeń robotniczych. Przedsiębiorstwo przyjęło mazurów, bardzo inteligentnych i pilnych ludzi do robót ziemnych. Niezadowolnieni z tego lwowscy robotnicy zebrali się w kilkaset ludzi wzdłuż toru o 8 rano i rozpoczęli bitkę z zajętymi tam mazurami, chcąc ich kamieniami spędzić z roboty. Zaburzenia trwały do 1 w południe, bo rozpędzani przez policyę napastnicy, zbierali się w innem miejscu i ponownie mazurów napadali. Dopiero około 1 udało się przyaresztować kilku przywódców demonstrantów, i tłumy rozeszły się. Wieczorem około godz. 6. zebrali się robotnicy ponownie w kilkaset ludzi w rynku i wysłali dwudziestu ludzi do biura przemysłowego, domagając się wydalenia od budowy robotników mazurów. Na wezwanie jednak policyi, tłumy spokojnie do domu się rozeszły.

Na tropie licznych kradzieży popełnianych w ostatnich czasach w kościołach: katedralnym, dominikańskim i w wołoskiej cerkwi, jest od dwu dni policya lwowska. Na targowicy przytrzymano Ołeksę Bałaniuka, który do współki z drugim ukradł pewnemu włościaninowi buty z wozu. Przy odbytej rewizyi znaleziono przy nim 27. zł., z których posiadania wytłumaczyć się nie umiał, a wikłając się w zeznaniach zdradził się, że posiada jeszcze więcej pieniędzy. Odbyto rewizyę w domu, w którym u żydów posługiwał i znaleziono na strychu około 300 zł. w trzech workach. Ponieważ Bałaniuk również i z posiadania tej kwoty nie umie się wytłumaczyć, zachodzi podejrzenie, że pieniądze te pochodzą z rozbitych skarbonek po kościołach, tembardziej, że cała znaleziona kwota składa się z monety drobnej.

Wyrodna matka. Przed kilku dniami donosiliśmy o znalezieniu podrzutka na t. z. „złotym moście“. Wczoraj udało się policyi wyśledzić wyrodną matkę w osobie Frandli Bombachówny, robotnicy liczącej 21 lat.

Wykłady ks. prałata Gnatowskiego. W zeszłym tygodniu zakończone zostały u SS. Nazaretanek poobiednie wykłady dla pań, które przez cały czas dawały dowody wielkiego zainteresowania się nimi, zbierając się bardzo licznie. Ks. prałat Gnatowski zajmujący się jak wiadomo tymi wykładami, ujął sobie całe audytoryum nietylko barwną, kwiecistą wymową, wszechstronnem wykształceniem i zdrowymi poglądami, ale i ciepłem płynącem wprost z serca, a opartem na głębokiej miłości bliźniego, które każdego musi ująć. Na poniedziałkowych wykładach ks. Gnatowski mówił o pobudkach rozwoju i następstwach rewolucyi i protestantyzmu, naszkicował zręcznie kilka wybitniejszych postaci z tej epoki, rzucając pomiędzy nie garście swych zapatrywań i poglądów. Na środowych wykładach etyki zaznaczał ks. Gnatowski, jak kobieta postępować powinna, aby nigdy nie uchybić swej godności i obowiązkom, a przedewszystkiem, aby nie znaleść się w konflikcie z przykazaniami boskiemi, które przecież powinny być podstawą życia każdej jednostki.

Kobietę nazwał ks. Gnatowski nader trafnie osią domowego ogniska, cząstką rodziny, która powinna opromieniać ognisko domowe, ogrzewać je i promieniować tak, aby promienie jej dobroci, szczerości, słodyczy jak najdalej sięgnąć mogły, nie koncentrując się jedynie w ciasnem kółku swego najbliższego otoczenia.

Urlopy urzędników. Na Radzie miejskiej w Wiedniu, radny Rauches postawił wniosek o udzielanie obowiązkowych urlopów urzędnikom magistratu a mianowicie corocznie, między 1. maja a 30. września, na ciąg 2, 3, 4, 5. i 6. tygodni, stosownie do lat służby 10, 15, 20, 25 i wyżej. Życzyć by należało aby i u nas, wszystkie urzędy państwowe i autonomiczne pójść mogły za tym przykładem, nie wesołą bowiem jest wogóle dola urzędników, którzy lata całe muszą pozostawać po 6 do 8 godzin dziennie w biurze przy monotonnej, żmudnej pracy. Z powodu udzielania urlopów obowiązkowych, praca służbowa nie ucierpiałaby, przeciwnie, urzędnicy, wiedząc, że mają sobie zapewnioną pewną liczbę dni odpoczynku, tem gorliwiej spełnialiby swe obowiązki. Projekt ten urlopów zaleca się szczególnie ze względu na niższych urzędników.

Sąd w Kołomyi ma być w roku przyszłym powiększonym o 4 siły konceptowe, 2 urzędników manipulacyjnych, 1 prowadzącego księgi gruntowe i 4 woźnych. Wskutek bowiem petycyi kołomyjskich adwokatów o pomnożenie personalu sądowego przy tamtejszym sądzie, rząd przyrzekł wstawić odpowiedni kredyt w preliminarz na rok 1896.

Pożary. We wsi Dobrowody w powiecie zbaraskim spłonęło d. 12 bm. 35 zagród włościańskich z budynkami gospodarczemi. Straty bardzo wielkie.

W Ostrowie pod Tarnopolem, włościanin zapalając lampkę wylał naftę, która natychmiast wybuchła płomieniem. Ogień objął dwoje bawiących się obok dzieci, a następnie i włościanina, ratującego dzieci. Wszyscy strasznie poparzeni.

Strejk piekarzy w Tarnopolu, zakończony został w sobotę w ten sposób, że pracodawcy podwyższyli pomocnikom płacę o 50 ct. a czeladnikom o 1 zł. tygodniowo. Czas pracy został niezmieniony. W ogóle strejk miał przebieg bardzo łagodny. W każdym jednak razie, mimo urzędowych zaprzeczeń, fakt strejku piekarzy w Tarnopolu pozostaje faktem.

Samobójstwo. W Bucniowej pod Tarnopolem, handlarka mlekiem, Hinde Goldberg w przystępie obłąkania rzuciła się do młynówki w Dyczkowie i utonęła. Zwłoki wydobyto dopiero w dwa dni później.

Z Przeworska piszą nam pod d. 13. bm. Dzięki niezmordowanym zabiegom i wytrwałości pp. dr. B. Z. i J. H., mimo rozlicznych przeszkód powiodło się doprowadzić do skutku przedstawienie amatorskie na dochód tutejszego Sokoła. I rzeczywiście przedstawienie wykonane dnia 12. bm. w sali kasynowej powiodło się świetnie. W przedstawieniu wzięły udział panie D. H. Rz. i Z., oraz panowie C. M. Rz. i R. a liczna publiczność tak miejscowa, jakoteż i zamiejscowa zapełniła szczelnie salę. Odegrano „Werbel domowy“ i „Moja córeczka“ a odegrano pod każdym względem wybornie, to też publiczność nie szczędziła oklasków.

Z powodu jednego żyda w Żywcu, wyprowadzonego przez pauprów miejskich z całym ceremoniałem po za rogatki miejskie, żydowskie dzienniki wiedeńskie podnoszą gwałt okrutny. Śmiech bierze, gdy się czyta płaczliwe narzekania i opisy spustoszeń i gwałtów, jakich nibyto miano się dopuścić nad przymusowo przeprowadzonym dr. Lesserem, osobistością znaną zresztą policyi krakowskiej, jako agitator socyalistyczny na wzór lwowskich Diamantów, Fraenklów i Mizesów. Czytelnikom naszym wiadomo, że Lesser z powodu tej przeprowadzki nie poniósł żadnej ani materyalnej ani moralnej szkody, a wybito okno tylko właścicielowi domu, który chociaż sam mieszczanin żywiecki, nie uszanował tradycyj tamtejszych i wynajął swój dom żydowi. Lesser prowokował mieszkańców, ale na szczęście zbyt mało zważano na osobę agitatora socyalistycznego, inaczej bowiem mogło było przyjść do większych awantur. Filosemiccy posłowi zapowiedzieli nawet interpelacyę z powodu Lessera w Izbie posłów, na razie jednak nie udało się im znaleść dostatecznej liczby podpisów. Wątpić jednak nie można, że Izba posłów mimo podnoszenia tej sprawy przez prasę żydowską do znaczenia zasadniczego, przekonawszy się o prawdziwym stanie rzeczy, będzie innego zdania, aniżeli interpelanci.

Emigranci galicyjscy. W Gracu aresztowano wczoraj 23 emigrantów galicyjskich, nie mających środków do dalszej podróży.

Chrześcijaństwo w Japonii. Niezwykle szybkie przyswajanie zewnętrznych form cywilizacyi nie pozostało bez wpływu i na duchowy rozwój Japończyków. Nowe formy życiowe odbiły się i na religijnych wierzeniach mieszkańców Japonii. Chrześcijaństwo, wprowadzone przez misyonarzów hiszpańskich i portugalskich jeszcze w początkach XVI wieku, nie mogło czynić postępu pośród narodu nieczułego na naukę miłości i przebaczenia. I istotnie wbrew rozporządzeniu o równości wyznań w Japonii, chrześcijanie japońscy byli upośledzeni; nie dowierzano im i wątpiono o ich patryotyzmie. W niektórych prowincyach ulegali nawet prześladowaniu i nie wolno im było zajmować urzędów państwowych. Władze miejscowe robiły misyonarzom chrześcijańskim najrozmaitsze trudności, w szkołach japońskich nie znoszono wcale nauczycieli chrześcijańskich. Obecnie *Journal de Genève* donosi, iż ostatnia wojna zmieniła całkowicie pojęcie Japończyków o chrześcijaństwie. Od chwili rozpoczęcia kroków wojennych chrześcijanie w Japonii wykazali szczery patryotyzm; tłumnie uczęszczali na nabożeństwa, odprawiane na intencyę wyjednania zwycięstwa dla oręża japońskiego, brali udział w dobrowolnych składkach na chorych i ranionych Japończyków a żołnierze chrześcijańscy udawali się na wojnę. Dowódcy nie mogli nachwalić się postępowania żołnierzy chrześcijańskich, a w dodatku znak czerwonego krzyża budził poszanowanie nawet w pogańskich szeregach armii, „Wojna — pisze genewski organ — zapewniła nauce chrześcijańskiej zupełne zwycięstwo w najbliższej przyszłości.“

Pożar teatru. W Rzymie — jak telegrafują — spłonął dziś teatr Politeama Adriano, zbudowany z drzewa. Straty wielkie.

Trucicielkę Joniaux skazaną na karę śmierci przez sądy belgijskie, ułaskawił król i zmienił jej karę na dożywotnie ciężkie więzienie i roboty przymusowe.

Leczenie raka. Z Paryża przychodzi wiadomość o wynalezieniu nowego środka leczniczego, mianowicie na raka. Jest nim podobnie, jak w głośnej metodzie leczenia dyfteryi, surowica krwi. Pierwszym, który wpadł na pomysł spróbowania tego środka, był dr. Karol Richet, profesor fizyologii na paryskim wydziale lekarskim. Lecz uwagę publiczności pobudził dopiero krótki komunikat dr. Reclus'a, odczytany na posiedzeniu Akademii nauk ścisłych. Dr. Reclus, zoperowawszy raka, kazał rozgnieść narośl, dolać nieco wody, potem przecedzić przez płótno, płyn otrzymany został wstrzyknięty osłom i psom i po pewnym przeciągu czasu (od 5 do 15 dni) puszczono zwierzętom krew, którą użyto do zastrzykiwania chorym na raka. W dwóch wypadkach — w jednym po wstrzyknięciu 120 centymetrów sześciennych, w drugim 64 cent. sześc. surowicy w małych dozach po 4 cent. sześc. surowicy, nastąpiło stopniowe polepszenie, które skończyło się zupełnem wyleczeniem.

Jeden z tych wypadków obserwował dr. Reclus, drugi dr. Terrier. Byłoby to tedy empirycznem natrafieniem na sposób leczenia tej strasznej choroby. Dr. Richet jednak, pierwszy inicyator, nie chce dawać żadnych wyjaśnień prasie i publiczności, twierdzi, że alarm jest przedwczesny, że za mało zrobiono doświadczeń i że nie należy wzbudzać przedwczesnych nadziei, aby nie było tak, jak z odkryciem Kocha.

Wydział inżynieryi na Politechnice w Zurychu, ukończyli w r. b. pp. Norbert Czarnecki, Mieczysław Oppenheim, Antoni Kowalewski i Salomon Glücksmann.

Kasyno miejskie we Lwowie. Zapowiedziana programem zabaw na sobotę 18. bm. „Wieczornica“ nie odbędzie się z powodów od zarządu niezależnych.

Konkurs na posadę rzeczywistego nauczyciela dla nauk budowniczo-technicznych z płacą 1200 zł. i dodatkiem 300 zł. rozpisuje dyrekcya państw. szkoły przemysłowej we Lwowie.

W Towarzystwie politechnicznem d. 15 bm. o 7 wieczór mówić będzie p. W. Syniewski o zadaniach budowniczych przy budowie i rekonstrukcyi gorzelń.

Składka na Wawel. W piątek d. 17 bm. o godz. 3 po południu odbędzie się w pomieszkaniu pani Bronisławy Seferowiczowej (gmach poczty) rozbicie puszek ze składkami centowemi na restauracyę katedry na Wawelu. Osoby trudniące się zbieraniem tych składek, zechcą we wskazanym czasie puszki swe przynieść lub je nadesłać.

Sztuki piękne.

Repertoar teatralny. Jutro we czwartek po raz pierwszy „Roznosicielka chleba“ sztuka w 5 aktach X. de Montepina i J. Dornay.

* **Pna S. Kruszelnicka** urządza w czwartek d. 16. bm. w sali Domu Narodnego, pożegnalny koncert, z współudziałem pp. Szymańskiego, Dreżepolskiego, Stohla i tow. Bojan.

* **Opera Paderewskiego** jest już skończoną. Dotąd tytułu nie ma jeszcze. Trzy wielkie akty, które zajmą cały wieczór. Sceny zagraniczne ubiegają się o tę nowość; zdaje się, że pierwszeństwo otrzyma Drezno. Przedtem jednak mistrz chce jeszcze poprawić akt pierwszy; z drugiego i trzeciego jest zupełnie zadowolony. Ci, którzy zostali wtajemniczeni w niektóre melodye powiadają, że dzieło to godne jest Paderewskiego. Artysta — tak bliski nam, choć ciągle tak daleki — poświęcił przeszłego roku swoje *engagement* do Ameryki, byle wykończyć swoją operę. Osnutą jest ona na temacie polsko-cygańskim, w librecie zużytkowane motywa, na których Kraszewski osnuł swoje arcydzieło „Chata za wsią“. Bohaterem jest cygan, cygan-artysta, który żeni się z chłopką i wstępuje w prozę i powszedniość wiejskiego życia. Artysta w tych warunkach walczy i cierpi, gdzie tęsknotę cygana za sztuką przerywa od czasu do czasu płacz jego dziecka — scena, która przeznaczona jest na to, aby robiła wielki efekt.

Teorya powieści składanej.

Pewnego razu — a było nas dziewięciu — wszyscy mniej więcej ludzie pióra, którzyśmy zbierali się co środę w gościnnym domu państwa R...e, ktoś z nas zrobił uwagę, że dotychczas literatura nie posiada powieści składanej, któraby była arcydziełem. Uderzeni głębią tego niespodziewanego odkrycia, przypomnieliśmy sobie jedyną u nas, zdaje się, próbę tego rodzaju: starą powieść, którą pisali naprzemian Kraszewski i Placyd Jankowski; nie było o dziele tem dwóch zdań między nami; nie, to nie było arcydzieło. Postanowienie wypełnienia tej luki w literaturze, nietylko naszej, ale i wszechświatowej, rozebranie pomiędzy siebie numerów kolejnych, omówienie warunków — wszystko to było dziełem jednej kolacyi.

Oto, jak się do tego wzięliśmy: Numer pierwszy wyciągnął ekonomista, któremu dostało się w udziale rozpoczęcie powieści. Numer drugi — powieściopisarz. Numer trzeci — antropolog. Numer czwarty — krytyk sztuki. Numer piąty — pani domu, autorka paru drobnych nowel. Numer szósty — specyalista od jednego z wielkich poetów. Numer siódmy — pisarz o kwestyach rolnych. Numer ósmy — poeta. Numer dziewiąty — dziennikarz, pisujący artykuły polityczne.

Oto, z jak poważnemi siłami przystępowaliśmy do dzieła. Niech kto powie, że tu nie ma więcej, niż potrzeba, do napisania powieści.

Na przyszłą środę autor rozpraw ekonomicznych przyniósł nam pierwszy rozdział; ten rozdział dawał ton powieści, określał jej charakter, wytykał jej drogę; powieść miała być psychologiczna — rodzaj, który jak to spostrzegacie odrazu, w szczególniejszy sposób nadaje się do pisania w dziewięciu.

Była więc pani i pan, małżeństwo; mieli dziecko i ono im umarło; przedtem kochali się nieco, po tem nieszczęściu prawie nic, (bo powieść jest psychologiczna). Pani zamiast siedzieć w domu, robiła długie spacery, aby zagłuszyć swoją rozpacz; na tych spacerach spostrzegł ją pewien pan, który zaczął się za nią włóczyć, czekać na nią przed domem, śledzić jej kroki; ten pewien pan był młody, no i przystojny. Aż wreszcie pewnego razu przystąpił do niej, grzecznie uchylił kapelusza, zastąpił jej nieco drogę i rzekł:

— Przepraszam panią, tylko jedno słówko...

W tem miejscu ekonomista, w którym na chwilę ocknął się duch felietonu, urwał swój rozdział...

Wszyscy, którzyśmy słuchali tego, jednocześnie złożyliśmy ręce do oklasku.

— Brawo! brawo! doskonale!

I oddano zeszyt powieściopisarzowi.

Ten przyniósł na przyszłą środę rozdział drugi. Uważał on za stosowne zmienić ton, charakter i wykreśloną drogę powieści — i zamiast ciągnąć ją psychologicznie, zrobił z niej... patrzcie, co z niej zrobił:

Pani się zatrzymała, a pewien pan powiedział jej następującą historyę:

— Wiem, że pani miałaś dziecko i straciłaś je. To też zwracam się do matki. I ja mam dziecko, sześcioletnią dziewczynkę; umieściłem ją na pensyi; sam muszę wyjechać daleko i na długo, może na zawsze; los mojej córeczki jest zabezpieczony; oto dowód na pół miliona rubli, które złożyłem u bankiera; ale nie mam krewnych, ani przyjaciół, dziewczynka zaś potrzebuje opieki, choćby to była raz na rok wizyta u przełożonej. Droga pani, czy chciałabyś raz na rok fatygować się na pensyę?

Pani jest wzruszona, przyrzeka; pan wręcza jej dokumenty, dziękuje i oddala się, aby już nie pokazać się więcej...

Pani wraca do domu — i tu przychodzi jej na myśl, że wszystko to jest tylko może — kawał.

Jedzie więc do bankiera. Nie, to prawda. Pół miliona leży w kasie. Jedzie na pensyę. I tu prawda. Tylko... przełożona wita ją z miną, świadczącą o zaambarasowaniu i po pewnych wotacyach powiada jej:

— Proszę pani... pokazało się, że ta dziewczynka jest właściwie chłopczykiem...

Tu urwał powieściopisarz.

Rozdział ten przyjęliśmy jak najgorzej; wszyscyśmy mieli miny wydłużone i zdanie, że ten rozdział jest niezły — podzielał tylko sam autor. Myśmy sądzili, że numer drugi zepsuł doskonały początek, zrobił nic, zakończone głupstwem i poważnemu przedsięwzięciu ubliżył, traktując je, jakby to był żart. Zdatny ten niewątpliwie człowiek nie stanął na wysokości zadania i zawiódł oczekiwania, położone w nim i w powieści.

Niektórzy żądali, aby ten rozdział przerobił.

Ale numer trzeci powiedział:

— Wszystko jedno, dajcie mnie, ja wyciągnę ten wóz z bagna.

Na przyszłą środę przyniósł więc rozdział trzeci antropolog.

Doskonały był ten rozdział trzeci, pełen życia i werwy; to też oklasków mu nie brakło. Ale niestety, ten nieszczęśliwy rozdział drugi zbyt wiele popsuł, zbyt głęboko dotknął budowę powieści, aby wady te nie odbiły się w następstwie.

Z tego powodu ci, co wołali, aby drugi rozdział uległ przerobieniu, zyskali przewagę. Zeszyt więc wrócił do powieściopisarza. Ten przerobił rozdział drugi — z pewnego pana uczynił malarza, który potrzebuje twarzy owej pani do wymarzonego przez siebie obrazu: Amelii z „Mazepy“ — ale ta nowa przeróbka mało kogo zadowoliła.

— To nie to — mówiliśmy i wzruszaliśmy ramionami, wargami również okazując nieobecność ukontentowania.

Dano jednak zeszyt numerowi czwartemu, który napisał znów dalszy rozdział — ale ten nieszczęśliwy drugi rozdział ciągle psuł wszystko — i w niejednej głowie powstała myśl, iż dopóty nie wypełni się luki w literaturze wszechświatowej, póki powieściopisarz nie będzie całkowicie usunięty z tego grona; ale przez grzeczność nikt tego nie powiedział głośno.

A szkoda, bo powieść przez to zginęła. Zniechęcono się, zajęto czem innem, a potem przyszło lato i ludzie się porozjeżdżali.

*

Właśnie taką samą próbę podjął obecnie *Gil Blas*, który postanowił uraczyć czytelników swoich powieścią składaną. Rzucałem się co rano na świeży fejleton powieści, ciekaw, czy Francuzi dokonają tego, czego my przez dopuszczenie niewłaściwych żywiołów, nie mogliśmy doprowadzić do końca.

Otóż Francuzi zadali sobie takie pytanie: ponieważ w Warszawie nie udało się napisanie powieści ekonomistom, antropologom i agronomom, możebyśmy spróbowali powierzyć to przedsięwzięcie powieściopisarzom. A nuż!... kto wie!?... może i napiszą!?...

Odważna redakcya *Gil Blasa* powołała więc pięciu literatów do tego dzieła. Oto ich nazwiska: Veber, Renard, Bernard, Courteline (autor „Boubouroche“) i Auriol.

Tytuł powieści: „X.“

Zaczął Veber, który korzystając z cudzego doświadczenia, wystrzegał się psychologii jak ognia.

A więc — policyant przyprowadził oto niemłodego człowieka, który bawił się rzucaniem kamieni w okno młodej pani, mieszkającej na drugiem piętrze.

— Jak się pan nazywasz? — pyta komisarz.

— Ja się nie nazywam wcale.

— Kto pan jesteś?

— Ja nie jestem.

— Proszę nie żartować.

— Ja nie żartuję, ponieważ ja już od dziesięciu lat nie żyję.

— Jak to?

— Zginąłem w katastrofie statku „Delfina“, który zatonął w drodze do Ameryki. Oto mój akt zejścia.

Komisarz widzi więc, że to nie waryat. X. uratował się z rozbicia i udawał im dotychczas nieboszczyka, bo... to mu się tak podobało. Teraz wrócił do Paryża i poszedł do żony, która nie chce go poznać, pewnie dlatego, iż woli kapitana, odwiedzającego ją bardzo często.

Oto pierwszy rozdział.

Jak widzicie, Veber otworzył szeroko wrota dla wszelakiej fantazyi następców.

Korzystali ci też z tego obficie.

Jeden z nich sprowadza do Paryża przyjaciela amerykańskiego X-a, Indyanina Igłę, ostatniego z Mohikanów.

Przygody paryskie tego syna pustyni, gościnność pojęta według dzikich obyczajów — jakiej Igła żąda od X-a w zamian za własną gościnność, okazaną niegdyś, pojedynek Igły z notaryuszem — wszystko to jest niezmiernie zabawne i szczerze komiczne.

Powieści w tem ani śladu.

Zaraz na początku X. niknie, a na pierwszy plan wychodzi kapitan; potem bohaterem staje się Igła. Jeden z autorów uśmierca odrazu żonę X a, bohaterkę powieści i notaryusza; drugi wskrzesza zmarłego milionera; występuje potem w powieści jakiś starzec baron Bulthen-Blanc, a dzielny kapitan ile razy go zobaczy, tyle razy... mdleje; ten baron ma dwie piękne córki, które wprowadza Courteline, piękne młode i niewinne; w następnym rozdziale Auriol — powiada nam, że każda z nich ma synka; Courteline gdy przyszła na niego kolej gniewa się: „to nieprawda i dziewczęta te są niewinnością samą. A kolega Auriol się myli, niech on nierzuca oszczerstw“. A Auriol w następnym rozdziale prowadzi dziewczęta na wieś, gdzie odwiedzają i pieszczą swoich synków i gdzie jedna z nich powiada: „słuchajno, gdyby nas tak Courteline teraz zobaczył! toby zrobił minę!“ W innem miejscu Igła, po śmierci Marty, postanawia się zabić, ale ponieważ oczytał się w romansidłach — śmierć zwyczajna nie wystarcza; on chce czegoś nadzwyczajnego, wyrafinowanego; wywołuje więc historyczne przykłady: naprzód oto, wyczytawszy o śmierci króla, który udławił się winnem gronem, nasz Igła kupuje funt winogron i je, czekając śmierci. Nic. Każe więc ogolić sobie głowę i chodzi po bulwarach paryskich, czekając aż przelatujący sęp zrzuci na jego głowę skorupę żółwią, która strzaska mu czaszkę...

Opowiedzieć treści — niepodobna. Jeden to chaos.

Budowy żadnej — i żadnej postaci.

Co się nam pokaże na chwilę, coś co ma fizyognomię ludzką, zaraz przychodzi kto inny, co usiłuje w ruch wprowadzić tę samą figurę — a wtedy czujemy, że to jest inna figura. Każda z tych postaci ma kilkanaście dusz, każdy z tych ludzi tuzin charakterów.

Ale Francuzi to przemyślny naród.

Nie czekali więc, aż im ktoś stojący z boku zacznie prawić kazanie: „jakiż z pracy onej może wyniknąć pożytek, skoro wszelaka, stworzona przez artystę postać — jest niewolnikiem artysty, będącym, jako sama dusza artysty — ani więc sprzedać komuś, ani darować, ani odstąpić, ani pożyczyć...“

I sami pierwsi z własnej roboty zaczęli się śmiać, wyśmiewać i szydzić.

To też „X“ jest nietylko parodyą powieści, ale zarazem i krytyką tejże.

* *

Dobrze — a teorya?

Teorya mieści się w określeniu samem powieści składanej. Oto ono: „Powieść składana jest to taka powieść, której nienależy wcale pisać“.

Gros.

Ostatnie wiadomości.

Jak z Pragi donoszą, zwołane przez młodoczechów zgromadzenie w Piseku, zostało przez stronnictwo chłopskie rozpędzone.

Na wczorajszem posiedzeniu węgierskiej Izby posłów interpelował Ugron (przewódca frakcyi skrajnej, która się odłączyła od koszutowców) rząd, czy odeszła nota ministra spraw zagranicznych do Stolicy św., czy rząd odnośne żądanie podtrzymuje; dalej jakie to fakta i oświadczenia nuncyusza wykazują, iż tenże zakres swego działania przekroczył; czy prezes ministrów za obrazę, wyrządzoną mu przez ministra spraw zagranicznych, otrzymał satysfakcyę i czy rząd podał się do dymisyi? Motywując swoją interpelacyę, podniósł Ugron, iż między Węgrami a Stolicą św., zwłaszcza w sprawach wewnętrznych, nie potrzeba pośrednictwa wspólnego ministra.

Prezydent Izby oświadczył, że interpelacyę wręczy prezesowi ministrów. (Hałas po lewicy). Poczem posiedzenie zamknięto. Następne posiedzenie we czwartek.

Nuncyusz Agliardi przyjmował w sobotę współpracownika *Magyar Orszagu*. Na pytanie, czy nota hr. Kalnokiego już odeszła do Rzymu, odpowiedział nuncyusz: „O ile mi wiadomo, w sprawie mojej podróży do Węgier, dotąd ani w Rzymie ani we Wiedniu nie nastąpiła żadna reklamacya“. Na dalsze pytanie, w jakim stosunku pozostaje teraz nuncyusz do Kalnokiego, odpowiedział Agliardi: „Ów dobry stosunek, jaki od mego pobytu w Wiedniu między nami istniał, nie został zamącony. Upłynęło dopiero kilka dni, kiedyśmy się ze sobą spotkali.“ Na ostatnie pytanie, jak sobie nuncyusz wyobraża rozwiązanie przesilenia, odpowiedział tenże: „Sądzę, iż przesilenie będzie rozwiązane pokojowo i to zarówno ze względu na obu ministrów, jak i na moją osobę. Nie przeczę, iż dalszego rozwoju wypadków wyczekuję z niecierpliwością, *comme un spectateur interessé*. Zdaje mi się, iż nie łudzę się utrzymując, iż moje dalsze pozostanie w Wiedniu nie napotka na żadne trudności“.

Jeszcze szybciej jak z ustawą wywrotową, bo na jednem posiedzeniu uporał się rajchstag niemiecki z ustawą, podnoszącą podatek od tytoniu (w Niemczech tytoń nie należy do monopolu państwowego), i całe przedłożenie odrzucił, jakkolwiek rząd usilnie przy niem obstawał, i organa konserwatywne zapewniały, że z czasem ustawa ta musi być przyjętą. Jeżeli rząd myśli o rozwiązaniu rajchstagu, mógłby odrzucenie ustawy tytoniowej wziąć za powód, bo tu szło nie o doktryny i interesa polityczne, ale o zaradzenie kłopotom finansowym. Organa konserwatywne domagają się zawieszenia konstytucyi i zaprowadzenia dyktatury. Czyjej? Czy Niemcy południowe

i część zachodnich zdadzą się na dyktaturę cesarza, tj. Prus?... Organa bismarkowskie są rozsądniejsze i oświadczają się po setny raz za ustawą specyalną przeciw socyalistom. Wedle *Köln. Ztg.*, stanowisko brutalnego ministra spraw wewnętrznych, Köllera, jest zachwiane z powodu częstych sprzeczności jego z zapatrywaniami kanclerza Hohenlohego.

Rada państwa.

(Telegr. Gaz. Nar.)

Wiedeń d. 14. maja.

Na wczorajszem posiedzeniu Izby posłów zawiadomił minister prez. Windischgrätz o zwołaniu delegacyj wspólnych na dzień 6. czerwca.

Następnie prowadzono w dalszym ciągu rozprawy nad czwartym rozdziałem reformy podatkowej, odnoszącym się do podatku osobisto-dochodowego. Paragrafy 156 do 158, omawiające podstawy do opodatkowania wywołały dłuższe rozprawy, w których wziął także udział i minister skarbu.

Przy głosowaniu paragrafy te, a także i będące z nimi w związku par. 173 i 174 zostały z małemi zmianami przyjęte.

Dalej przyszły pod obrady paragrafy 159 do 162 dotyczące wyjawień dochodów i potrąceń.

Wiedeń d. 14. maja.

Rząd przedłożył członkom subkomitetu dla reformy wyborczej kodyfikowany projekt ustawy reformy wyborczej. Projekt ten opiera się na zasadach przyjętych przez subkomitet i zapewnia obu mającym się zaprowadzić kuryom wyborczym po piędziesiąt mandatów.

Podczas wczorajszego posiedzenia subkomitetu, w którem brali udział ministrowie Bacquehem i Windischgrätz, interpelacya Kronawettera i Pernerstorfera odnosząca się do zajść w Żywcu, nie mogła być rozpatrywaną, gdyż młodoczesi i Niemcy narodowcy odmówili podpisania interpelacyi.

Telegramy.

Kraków d. 14. maja.

Dzisiejszej nocy rzeźnik Władysław Paszkowski zamordował nożem na ulicy Szewskiej handlarza Jana Miszczyńskiego po krótkiej sprzeczce za to, że mu tenże odmówił papierosa.

Starszy komisarz Swolkien ujął sprawcę jeszcze w ciągu nocy.

Wiedeń d. 14. maja.

Liberalne stronnictwo Rady miejskiej odbyło wczoraj posiedzenie, na którem stwierdzono, że stronnictwo składa się tylko z 63 członków, tj. że i liczebnie słabsze jest od antisemitów. Postanowiono wprawdzie przy wyborach na wiceprezydenta głosować za Rychterem, zastrzeżono sobie jednak wyprowadzenie wniosków z obecnego położenia rzeczy i jak wyraził się niektóry mowcy wycofać się z honorem.

Wiedeń d. 14. maja.

Prezydent miasta dr. Gruebl pojawił się wczoraj w parlamencie i naradzał się z ministrami: Windischgraetzem, Bacquehemem i Plenerem, którzy usiłowali go namówić do pozostania na prezydenturze. Gruebl jednak odmówił stanowczo, oświadczając, iż nie może rządzić miastem bez większości w Radzie.

Wiedeń d. 14. maja.

Zaprzeczają urzędownie wiadomości o porozumieniu się co do upaństwowienia kolei południowej.

Wiedeń d. 14. maja.

Uchwalona przez sejm galicyjski ustawa o poręce krajowej dla pożyczki 19.400 zł. dla m. Brody otrzymała sankcyę cesarską.

Wiedeń d. 14. maja.

Deputacya czeskiej wystawy etnograficznej była wczoraj przyjęta przez cesarza, celem zaproszenia cesarza do zwiedzenia wystawy. Cesarz nie dał stanowczej odpowiedzi i wyraził tylko życzenie, aby wystawa odbywała się spokojnie i z godnością.

Wiedeń d. 14. maja.

Na ostatniem pełnem posiedzeniu niższo-austryackiej Izby handlowej postanowiono poczynić kroki co do zmiany rozporządzeń odnoszących się do ustawy o spoczynku niedzielnym. Różne stowarzyszenia zgłosiły bowiem zażalenia.

Wiedeń d. 14. maja.

W niedzielę panowała burza w Wiedniu i okolicy, która wedle doniesień z powiatów poczyniła wielkie spustoszenia.

Wiedeń d. 14. maja.

Przy dzisiejszym wyborze pierwszego zastępcy burmistrza miasta Wiednia, dotychczasowy wiceburmistrz Richter nie przyjął wyboru, który padł na niego. Przy dalszych głosowaniach wybrany został w wyborze ściślejszym dr. Lueger pierwszym wiceburmistrzem Wiednia.

Lublana d. 14. maja.

Ubiegłej nocy były znowu trzy wstrząśnienia, które wyrządziły nowe szkody. Z każdym dniem wzrasta liczba domów, które trzeba będzie zupełnie rozebrać.

Budapeszt d. 14. maja.

Bar. Josika przybędzie dla wzięcia udziału w głosowaniu Izby magnatów; ma on podobno przywieźć z sobą ważne wiadomości.

Budapeszt d. 14. maja.

Dzisiaj odbywa się posiedzenie Izby panów, na którym pozostałe dwa przedłożenia kościelno-polityczne zapewne większą niż poprzód większością odrzucone zostaną.

Zagorzalcy węgierscy podnoszą, że reskrypt zwołujący delegacye wspólne, nosi datę 2. bm., że zatem hr. Kalnoky podpisał go w chwili, kiedy już się podał był do dymisyi, albo podać się zamierzał; delegacye z tego powodu będą się musiały zastanowić, czy akt, w tego rodzaju okolicznościach podpisany, jest zupełnie ważny.

O ile słychać, cesarz przyjąwszy sprawozdanie Banffiego, odpowiedział, że znużony podróżą do Poli i jazdą nocną nie może dać na razie odpowiedzi, że ją jednak wkrótce przeszle, a zresztą pragnie, aby prace parlamentarne szły swoim trybem zwyczajnym. Usposobienie liberałów jest ponure. Spodziewają się tylko, że się br. Josice (ministrowi do boku królewskiego) uda nakłonić koronę, aby wobec groźnych następstw, jakieby spadły na kraj w razie dymisyi Banffiego, spełniła żądania gabinetu węgierskiego. Rzecz dziwna, iż nigdy nie słychać, aby stronnictwo liberalne kiedy koronie, ale zawsze tylko, aby korona jemu ustępstwa czyniła.

Budapeszt d. 14. maja.

Jak słychać, ma cesarzowa tego lata na kilka tygodni przybyć do kąpiel węgierskich, albo do Piszczan albo do Trenczyna.

Franciszek Koszut puścił się w objazdkę po kraju. W Nagy-Szalonta przyjmowano go z zapałem, ucztą, przedstawieniem w teatrze z allegoryą koszutowską i korowodem pochodniowym. Na rynku miał mowę, w której „lud" zachęcał, aby szedł za jego stronnictwem. Kilku ubogich ludzi przyszło do niego, aby im wymieniał banknoty koszutowskie z r. 1849. Z Nagy-Szalonta udał się Fr. Koszut do Wielkiego Waradu.

Berlin d. 14. maja.

Projekt ustawy o podatku tytoniowym został paragraf po paragrafie przez parlament odrzucony.

Berlin d. 14. maja.

Mówią tu o dymisyi min. Koellera, której to pogłosce jednak zaprzeczają rządowe koła. Ogólnie pożądane jest zamknięcie bieżącej sesyi parlamentu, co też z końcem tego tygodnia nastąpi.

Berlin d. 14. maja.

Ogłoszono już taryfę przewozową dla kanału kielskiego; taryfa obowiązuje od d. 10. czerwca i od tego dnia przejazd kanałem będzie otwarty. W zimie będzie taryfa podwyższona. Cały kanał będzie oświecony latarniami elektrycznemi, aby także w nocy był przejazd możliwy.

Kolonia d. 14 maja.

Belgradzki korespondent do *Köln. Ztg.* donosi, że rokowania z radykałami dzięki pośrednictwu królów j Natalii znowu zostały nawiązane.

Belgrad d. 14. maja.

Prezydent administracyi podatkowej Popowicz mianowany ministrem skarbu. Zwołano radę stanu. Lozanicz, który zatrzymuje tekę skarbu, mianowany został zarazem członkiem rady stanu.

Sztokholm d. 14. maja.

Szwedzka Izba niższa przyjęła kompromisowy wniosek komisyi w sprawie traktatu handlowego z Norwegią. Traktat ma być wypowiedziany przed 1. sierpnia br, a rząd ma wejść w układy z Norwegią względem nowego traktatu.

Tokio d. 14 maja.

Traktat pokojowy został wczoraj ogłoszony. Oddanie półwyspu Liaotung załatwionem zostanie osobną umową z Chinami.

Dział ekonomiczny.

— **Ceny cukru** podnoszą się szybko. W Pradze notowano wczoraj: cukier surowy 13·75, cukier na jesień 14·—.

— **W Sanoku** Rada miejska postanowiła przyczynić się na razie kwotą 500 zł. do kosztów uzyskania koncesyi, trasy i obliczenia kolei lokalnej z Dynowa, względnie z Bachowa do Sanoka.

— **Program** zjazdu XI. walnego zgromadzenia tow. „Kółek rolniczych" w Tarnopolu. W środę dnia 15. bm. o godz. 8 rano zebranie delegatów i uczestników zjazdu w gmachu magistratu; o godz. 8 i pół rano nabożeństwo w kościele paraf. rz. kat., następnie nabożeństwo w paraf. cerkwi gr. kat.; o godz. 10 rano powitanie gości w imieniu miasta przez burmistrza i prezesa komitetu, następnie I. posiedzenie walnego zgromadzenia w sali radnej magistratu; o godz. 1 w południe wspólny obiad w sali Sokoła, wstęp wolny za okazaniem legitymacyi lub karty wstępu, które będą wydawane w biurze kwaterunkowem w magistracie, lub po każdem posiedzeniu u sekretarza; o godz. wpół do 4 po południu II. posiedzenie w sali radnej magistratu, następnie zwiedzenie pasieki p. Teodora Senika, kierownika szkoły ludowej, oraz popularny wykład prof. uniw. dr. T. Ciesielskiego z dziedziny pszczelnictwa; o godz. 8 wieczorem przedstawienie w sali Sokoła. W czwartek dnia. 16. bm. o godz. 9 rano III. posiedzenie walnego zgromadzenia; o godzinie 1 w południe wspólny obiad w sali Sokoła; o godz. 3 IV. i ostatnie posiedzenie, tudzież losowanie maszyn i narzędzi rolniczych.

Wiadomości giełdowe.

Lwów, dnia 14. maja 1895.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika od 200 zł. m. k. 221·— do 224·—. Kolej Lwow.-Czern.-Jassk. po 200 zł. w. a. 327·— do 331·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 442·— do 452·—. Banku kredyt. galic. po 200 zł. w. a. 210·— do —·—. Akcye gorzelni Rzeszowskiej po 100 zł. 200·— do 203·—.

Listy zastawne na 100 zł.: Banku hipot. ga 5% los. w 40 lat. —·— do —·—. 5% z 10% prem. 110·30 do 111·—. 4½% los. w 50 lat. 100·80 do 101·50. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 101·20 do 101·90. Banku krajowego 4½% los. w 57 lat. 98·— do 98·70. Towarz. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·50 do 99·20. 4½% los w 41½ lat. 98·— do 98·70. 4% los. w 56-latach 98·— do 98·70. 4½% los. w 52 lat. —·— do —·—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 99·40 do 99·10. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·— do —·—. Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·00 do 102·70. Pożyczka krajowa 6% w. a. 105.— do —·—. 4½% 100·70 do 101·40. 4% z roku 1891 98·30 do 99·—. 4% po 200 koron = 100 zł. w. a. z roku 1893 98·50 do 99·20.

Losy: Losy miasta Krakowa 27.— do 29·—. Losy miasta Stanisławowa 42·— do —·—.

Monety. Dukat cesarski 5·70 do 5·80. Napoleondor 9·77 do 9·87. Półimperyał 10·— do —·—. Rubel rosyjski srebrny 1·28·— do 1·38·—. Rubel rosyjski papierowy 1·31·— do 1·32·—. 100 marek niemieckich 59·45 do 60·—.

Wiedeń d. 14. maja.

(Telegram *Gaz. Nar.*)

Po zamknięciu giełdy południowej notowano: Kredyty 400·50, węgierski bank kredytowy 459·50, anglobank 176·50, länderbank 281·50, kolej państwowe 427·50, lombardy 104·12, elbetha 293·50, akcye tytoniowe 242·50, alpiny 86·30, renta majow. 101·50, renta złota —·—, węgiersk. renta koronna —·—, austr. renta koronna —·—, unionbank 332·—, marki —·—, ruble —·—.

Berlin d. 14. maja.

(Telegram *Gaz. Nar.*)

Wczoraj wieczorem notowano na giełdzie: kredyty 246·50 (399·66), lombardy 43·90 (104·19), węgierska renta złota 102·75 (123·01), węg. renta koronna —·— (—·—). Cyfry podane w nawiasie (—) oznaczają porównawczy kurs wiedeński ta *Wiener-Parität*.

Frankfurt d. 14. maja.

(Telegram *Gaz. Nar.*)

Wczorajsza giełda wieczorna: Kredyty 333·62 (398·99), lombardy 38·37 (104·27), węg. renta złota 102·75 (123·01), węgierska renta koronowa —·— (—·—).

Z rynków towarowych.

Wiedeń dnia 14. maja. Płacono: pszenica na maj-czerwiec po 100 zł. 7·40, pszenica na jesień 7·66, żyto na jesień 6·90, owies na jesień 6·47, kukurudza na maj-czerwiec 6·85, kukurudza na lipiec-sierpień 6·88, rzepak na sierpień-wrzesień 12·02.

Wiedeń 14. maja. Spirytus kontyngentowy 15·80 do —·—.

Przyjechali do Lwowa

dnia 14 maja.

Hotel Żorża. M. Kusielska z Podola ros., St. hr. Tarnowski z Krakowa, M. br. Błażowski z Nowosiółki, L. br. Brückmann z Monasterca, J. hr. Potocki z Rymanowa, B. Wolfarth z Kołomyi, J. Agopsowicz z Kobylca, B. Wydżda z Polski, R. Palch z Jasła, A. Simon z Chlebowa, G. Kohn z Moguncyi, M. Michaut z Wołynia, W. Glaser z Wiednia, Z. br. Lanckoroński z Tartakowa, W. Gniewosz z Kontów, J. Kleski z Wierbiąża.

Hotel Europejski. J. Kellermann z Kańczugi, W. Malinowski z Kudynowiec, D. Antoniewicz z Winogradu, E. Richter z Jarosławia, M. Zdulski z Kolbuszowy, M. Goldenring z Wrocławia, S. Denches z Wiednia, E. Ebel z Beuthen, S. Reinitz z Wiednia, A. Galambicka z Sławentyna, L. Weinberder z Wiednia, K. Jaworski z Ostrowczyka, A. Miklautz z Pardubitz, H. Klebinder ze Stanisławowa, W. Krüger z Pragi, C. Bovy z Lüttich.

Stan powietrza. W ubiegłej dobie mieliśmy pogodę.

Barometr opada.

Stan barometru sredukowany do poziomu morza był dziś o 12tej godzinie w południe 768·0 mm.

Prognoza na dobę dnia 15 maja br. (od północy do północy). Wiatr będzie co do kierunku przeważnie północny o średniej prędkości około 3·0 m/sek.

Średnia temperatura doby około 18·0°C. niebo będzie lekko zachmurzone — a względna wilgotność powietrza około 60%.

Niebo skłonne do burzy, deszcz nieznaczny.

Dziś dnia 15 maja: Zofii i 3 cór. — Tymofteya.

Nadesłane

Za tę rubrykę redakcya nie odpowiada.

Podziękowanie.

Ciężko dotknięci długotrwałą słabością, zakończoną śmiercią najukochańszego syna naszego śp. Maryana, doznaliśmy w tem okropnem położeniu prawdziwej ulgi w iście obywatelskiem a zacnem postępowaniu WW. PP. Stachiewicza i Abrysowskiego, właścicieli handlu, gdzie śp. syn nasz pracował, którzy przez cały czas słabości jego przychodzili mu z pomocą materyalną, płacąc do ostatniej chwili cały jego zarobek, jakoteż przyczyniając się znaczną kwotą do pogrzebania zwłok. Nadto WP. dr. Teofil Stachiewicz przez cały przeciąg długotrwałej choroby, z całą gorliwością ofiarował swą cenną pomoc lekarską. Przyjmijcie więc zacni Panowie za Wasz prawdziwie szlachetny i obywatelski uczynek z głębi zbolałych serc rodzicielskich „Bóg zapłać".

E. i A. Ślimakowscy.

ROZKŁAD POCIĄGÓW

obowiązujący od 1. maja 1895.

(Czas lwowski).

Do Lwowa przychodzą	rano	przed poł.	po poł.	wieczór	noc
Z Krakowa	5·46*	9·36	1·58*	7·36	9·43
Z Podwołoczysk (gł. dw.)		9·1	3·01*	5·36	10·36*
Z Podwołoczysk Podzam.		8·46	2·49*	5·21	10·24*
Z Czerniowiec Suczawy	8·13		2·08	6·53	10·26*
Ze Stryja, Ławocznego, Budapesztu		8·46	2·18	9·52	12·41
Ze Stryja Chyrów-Suchy		8·46	2·18		13·41
Ze Stryja Stanisławowa Husiatyna		8·46	2·18		12·41
Z Bełzca			5·14		
Z Rawy ruskiej	8·36		5·16		
Z Brzuchowic				8·25	

Ze Lwowa odchodzą	rano	przed poł.	po poł.	wieczór	noc
Do Krakowa	5·31	11·01	3·26*	7·21	11·36*
Do Podwołoczysk (gł. dw.)	6·22*	10·26	2·32*		10·56
" z Podzamcza	6·32*	10·38	2·42*		11·08
Do Czerniowiec, Suczawy	6·51*	11·11	3·16		1·06
Do Stryja, Ławocznego, Budapesztu	6·01	10·09	3·36	8·14	
Do Stryja, Chyrowa-Suchy	6·01	10·0		8·14	
Do Stryja, Stanisławowa, Husiatyna	6·01		3·36	8·14	
Do Bełzca		9·51			
Do Rawy ruskiej		9·51		7·46	
Do Brzuchowic			3·20		
Do Zimnej wody			3·45		

Pociąg express ze Lwowa 9·16 rano, w Krakowie 2·24 popołudniu, w Wiedniu 9·32 wieczór.

Pociąg express do Lwowa 9·16 wieczór, z Krakowa 2·40 popołudniu, z Wiednia 7·40 rano.

Różnica między zegarem miejskim a środnio-europejskim wynosi minut 36, a mianowicie: gdy zegar środkowo-europejski (kolejowy) wskazuje g. 12, zegar lwowski wskazuje g. 12 m. 35.

* Pociągi pospieszne.

W GLINNIE.

Nowelka.

(Ciąg dalszy.)

Przed chwilą wrócił Krystyn do domu, nie miał co robić, więc wyszedł na ganek i patrzył po górach. Naraz uszów jego doszedł odgłos tententu; uderzył go ten tentent, bo innym był od tych, jakie słyszał tu często. Zwrócił się w stronę zkąd dochodził, patrzył tam chwilę, potem wbiegł w dom i wyszedł z lornetą. Nie odrywał jej od oczów, bo patrzył na rzecz naprawdę tu nadzwyczajną: drogą, co szła ze Sadowy, na rosłym koniu jechała amazonka. Rozglądała się po okolicy ciekawie, podjechała tuż pod wodospad i patrzyła czas jakiś na niego; potem zwróciła konia, chwilę stała jakby niepewna u wejścia drogi, która na górę prowadziła do dworu — i wjechała w nią wreszcie. Krystyn mimo szkieł nie mógł rozróżnić jej twarzy, nie znał tu zresztą nikogo; zeszedł z ganku, zawołał starego Franciszka i kazał mu wyjść nieznajomemu gościowi naprzeciw. Jeszcze bardziej zdumiony był Krystyn, kiedy ujrzał, że Franciszek wita tego gościa jak dawną znajomą; podszedł i on kilka kroków naprzód, ale nagle biedz począł. I ona także spieszyła ku niemu; stanęli naprzeciw siebie, wyciągnęli do siebie ręce, ale tylko ona mogła przemówić w tej chwili.

— Jak to dziwnie i jak to szczęśliwie, że pana tu spotykam — mówiła — jechałam tu nie spodziewając się spotkać żywej duszy, bo mi mąż zawsze mówił, że w Glinnie nie mieszka nikt. Co pan tu robi?

Ale on, choć już przychodził do siebie — znowu oniemiał, bo w tem, co ona mówiła, było słowo, które mu znowu zatamowało głos.

— Widzę, jaką panu mój przyjazd sprawił niespodziankę. Niechże mnie pan powita u siebie.

— O witam panią serdecznie — mówił wreszcie, choć cicho i ciężko. Pyta pani, co ja tu robię? Te debry mi tylko zostały, więc na nich siedzę.

— A ja nie wiedziałam nic o tem! Toż sąsiadami jesteśmy. Dawno pan tu?

— Od czterech lat.

— Ja od dwóch tygodni. Dotychczas jeździliśmy ciągle; mnie wreszcie znudziła ta włóczęga, osiadłam w Sadowie, a męża samego puściłam w świat.

— Proszę — niechże pani w dom wejdzie.

— Czy tam zastanę kogo? — zapytała nagle.

— Nie pani — pusto tu u mnie.

Ona nie weszła jednak, usiadła na ganku i mówiła patrząc przed siebie.

— Nie powinien się na pustkę skarżyć, komu Bóg dał zamieszkać w takim raju.

— Jeśli o innym nie marzył — powiedział Krystyn mimowoli; niezadowolonym był jednak z tego co powiedział i szybko zapytał:

— Czy pani można czem służyć? — jechała pani pewno długo.

— Jeżeli mnie pan nakarmi i napoi, dobry uczynek pan zrobi.

— Ja o tej porze do objadu siadam; podzieli go pani ze mną?

— Z ochotą — a co większa z apetytem. Ale pan wyjdzie źle na tem.

— To już Franciszka rzecz.

— Więc on kucharzem teraz?

— Wszystkiem. Poczciwy stary nie chciał mnie odejść, a mnie tu na liczny dwór nie stać, więc musiał objąć wiele funkcyj. Pozwoli pani, że mu pójdę zlecenie dać, a i o konia pani każę mieć staranie.

Wyszedł, a ona patrzyła za nim; jej śliczne oczy posmutniały, westchnęła i zamyśliła się, a w tem zamyśleniu widziała siebie podlotkiem, którego pierwszym ideałem był młody sąsiad. Ona rosła, on mężniał; dobrymi, poufałymi przyjaciółmi byli sobie na oko; czem sobie byli w sercach? tego nie powiedzieli sobie, bo on zubożał nagle. Może mu duma nie pozwalała odezwać się teraz, może w postępowaniu ze sobą zauważył jaką zmianę i to mu odwagę odebrało? Zamknął się w sobie, na smutniejsze się zmienił, pożegnał ją życzeniem szczęścia i znikł z jej oczów, znikł i z pamięci rychło — bo inaczej bije serce dorosłej panny niż serdecznego podlotka. A jednak? Czy lepiej się stało? Czy to życzenie, które na pożegnanie jej dał, choć było tak szczere, choć okupione zaparciem się siebie samego — ziściło się jej?

Krystyn wracał.

— Szczęście, że pani bez wypadku dojechała tu na tym angliku.

— Dlaczego? Droga przecież wszędzie dobra, urwiska podgradzane baryerami, mosty nawet bez dziur. Tę śliczną Glinnę obmawiają wszyscy; pan nawet. Mąż zawsze mi mówił, że Glinna to wertep niezamieszkały, gdzie można z głodu zginąć, że w dworze a raczej w jego ruinie mieszkają wilcy a droga do Glinny — to teren dla samobójców. Dziś wstałam w awanturniczym humorze; jadę więc tu przygotowana na wszelkie przypadki — i najpierw drogę znajduję zupełnie możliwą, zamiast rudery — wcale europejski dom, a...

— Zamiast wilka — mnie.

— I obietnicę smacznego obiadu — dodała z uśmiechem. Jednem słowem — zawiodłam się na Glinnie.

— Przepraszam panią za ten zawód, bo moją on winą wyłącznie. Kiedy przybyłem tu — zastałem wszystko tak jak pani opisywano. Ale to temu tak dawno już, że się niejedno mogło zmienić.

— Jakże pan żyje tu? Czy rzeczywiście sam, bez nikogo?

— O nie. Mam tu przyjaciela. Mamy książki, nuty, gazety.

— I wystarcza to panu?

— Wystarcza.

— I więcej pan nie pragnie?

— Nie wolno mi. Ona już nie pytała dlaczego?

— Był pan na tej górze? — spytała wskazując na nagi wierzch.

— I nieraz. To „Bosa Góra". Sadowę z niej widać i daleko na Węgry i do nas na równinę.

— Muszę tam kiedy wyjść. Nie odmówi mi pan przewodnictwa?

— Skoro pani chce być tam — to nawet proszę, żeby pani tam nie szła bezemnie, nie zawsze tam bezpiecznie, a ja już każdą ścieżkę znam. Ale to wyprawa na cały dzień.

— Wybierzemy się kiedyś. Mówił pan, że pan tu ma przyjaciela. Można wiedzieć, kto to?

— Nazywa się Drzycki, lat ma sześćdziesiąt kilka, — duszę niezmiernie zacną. Różnie mu się w życiu wiodło a od piętnastu lat rządzi Glinną.

— Więc rządca pański?

— Ponieważ tu oprócz lasu nie ma czem rządzić — więc nosi tytuł leśniczego. Radbym, żeby go pani poznała. Niezwyczajny to człowiek.

— Muzyki pan nie zarzucił? — zapytała patrząc przez drzwi w głąb domu, gdzie spostrzegła pianino.

— Tu ją dopiero zacząłem uprawiać na seryo. Bez niej tu by mi może źle było.

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że panu tu dobrze?

— W warunkach, jakim się poddać musiałem — dobrze mi tu zupełnie. Panem tu jestem wszechwładnym i ludzie mi w drogę nie wchodzą. Niech pani spojrzy w około, ni jednej chaty!

— Gdzież wieś?

— Na przeciwległym stoku.

— Mizantrop się z pana zrobił. To źle. Muszę pana w kuracyę wziąć. Skoro pana odkryłam — nie dam już panu spokoju. Spodziewam się, że pan protestować nie będzie.

— Jeżeli pani nie pozwoli.

— Naturalnie, że nie pozwolę. Despotką jestem. Weszła w dom; oglądnęła wszystko, a wracając do saloniku, z którego drzwi na ganek szły — mówiła:

— Ślicznie tu u pana.

— Resztki dawnego dostatku — powiedział Zygmunt.

Podeszła do pianina; na jego pulpicie leżały rozłożone nuty.

— Śpiewa pan to?

— Tak. Ale...

— Żadnego „ale". Proszę śpiewać.

Usiadła i akompaniować zaczęła, ale zaledwie wzięła kilka akordów, Franciszek prosił do stołu.

— Koncert przerwany. Po objedzie ciąg dalszy. Ramienia mi pan niepoda?

Krystyn pospieszył to uczynić i przeszli do jadalni. Ona wypytywała dalej o sposób życia w Glinnie.

— Więc nigdzie, nawet w kościele panowie nie bywacie?

— Do najbliższego kościoła pięć mil stąd, do najbliższej cerkwi dwie, bo Glinna nie tworzy osobnej parafii. Chwalimy Boga w swój sposób.

Ciekawa jestem, w jaki?

— Opowiem to pani historycznie. Nie wychowano mnie w żarliwości wiary i kiedy przybyłem tu — nie czułem braku w tym względzie; święto mi było takim samym dniem, jak każdy inny. Kiedy się z Drzyckim poprzyjaźniłem, zaczęliśmy razem uprawiać muzykę a że on dobrej pół mili ma stąd do siebie, więc uradziliśmy, że będzie lepiej, żeby tu raz na zawsze zostawił swoje skrzypce. Zwykle schodziliśmy się wieczór, po pracy — aż w pierwszą niedzielę po zostawieniu tu skrzypców, przychodzi Drzycki rano i mówi mi, że przyszedł na swoje nabożeństwo. Byłem wtedy pierwszy raz tego nabożeństwa świadkiem. Drzycki się modlił na skrzypcach; grał tak, że gdybym niewiedział był, że to ma być modlitwa — byłbym ją odgadł. Była to fantazya, improwizacya na motywach pobożnych pieśni ludowych i muzyki kościelnej pierwszych mistrzów. Słyszałem go tyle razy przedtem a teraz słuchając dziwnego doznałem wrażenia: wzruszenia, — mimowoli zapragnąłem w tem nabożeństwie wziąć udział — i wkrótce Bóg zyskał w Glinnie drugiego czciciela, który go pieśnią chwalił. Drzycki na skrzypcach, ja gram na pianinie i śpiewam a stary Franciszek słucha, szepta psalmy i bije się w piersi za nas wszystkich.

Wł. Eminowicz.

(C. d. n.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.